

Mam wyczucie PRL, zaczynałem od „tygrysków”

Porównywanie Jarosława Kaczyńskiego do Gomułki wydaje mi się zbyt banalne. Czasem jednak warto pokazać, że pewne mechanizmy władzy albo społeczne są uniwersalne – np. myślenie grupowe, plemienne, konformizm, przywiązanie i podziw dla silnej władzy – mówi historyk *Marcin Zaremba*

Rozmawia **ANDRZEJ BRZEZIECKI**

NEWSWEEK HISTORIA: Urodził się pan i dorósł w epoce, którą bada jako historyk. To atut czy obciążenie?

DR HAB. MARCIN ZAREMBA: Mam wyczucie klimatu PRL, tych smaczków trudnych do uchwycenia w źródłach. Gdy przechodzę koło jakiegoś miejsca, pamiętam, że pachniało np. barem mlecznym. To oczywiście pomaga. Dawna historiografia kładła nacisk na obiektywizację, dążono do unaukowania narracji, unikano wszelkich subiektywnych wrażeń. Uważam, że nie można odciąć się od własnej pamięci. Pisanie o historii jest związane z tym, co przeżyliśmy. W książce, którą właśnie kończę – „Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności” – przywołuję własne wspomnienia. Na przykład przy zimie stulecia piszę:

„Pamiętam, jak chciałem się wykąpać. Ciepła woda w kranie zamieniła się na zimną. Próbowałem ją zagotować w garnku, jednak ciśnienie gazu było tak niskie, że trwało to w nieskończoność. Zdesperowany do wanny włożyłem grzałkę elektryczną. Sukces pierwszy – umyłem się w letniej wodzie, drugi – nie poraziłem się prądem”.

Inne wspomnienie: „W lutym 1980 r. wyjechałem z mamą do RFN, była to moja pierwsza podróż na Zachód. Sama stacja benzynowa w oczach 13-latka wyglądała jak stacja kosmiczna. Była wielka, pełna światła i neonów, niesamowicie zaopatrzona. Nawet torby plastikowe z napisem »Kaufhalle« gromadziliśmy jak bezcenne kamienie z księżycy. Nieziemsko smakowała pasta do zębów. Przywiezioną z Niemiec

pikowaną bluzę chciało odkupić kilku kolegów. Wszystkim opowiadałem, jak było. Przypominało to sytuacje po inicjacji seksualnej – znałem prawdę”.

I jeszcze jeden fragment – gdy opisuję wzrost nastrojów narodowych i zastanawiam się, czy miał wpływ na genezę Solidarności: „W drugiej połowie lat 70. jeździłem na obozy harcerskie. Śpiewaliśmy piosenki żeglarskie i z powstania warszawskiego. W sierpniu 1980 r. byłem na obozie i popularna była piosenka, którą śpiewałem ze szczególną emfazą. Jej refren brzmiał: A my Wilno zdobędziemy / Lwów odbijemy / Odpocznijemy w Leningradzie / W kołchozowym sadzie”.

Dodam, że latem 1980 r. odbyła się olimpiada w Moskwie i powszechnie uważano, że z Polski wywożono wszelkie dobra na tę imprezę.





Dr hab. Marcin Zaremba

pracownik IH UW
w Zakładzie Historii XX w.
Autor i współautor wielu
opracowań dokumentów
– m.in. „Dzień po dniu
w raportach SB oraz
Wydziału Organizacyjnego
KC PZPR” (Warszawa
1998). Wydał także m.in.
„Komunizm, legitymizacja,
nacjonalizm. Nacjonalistyczna
legitymizacja władzy
politycznej w Polsce”
(Warszawa 2001), „Wielka
trwoga. Polska 1944-1947”
(Kraków-Warszawa 2012).
Laureat m.in. nagrody Klio
oraz Nagrody im. Jerzego
Turowicza

Nastrojów antyradzieckich było wówczas więcej. Opowiadaliśmy sobie jako chłopcy dowcipy o Stirlitzu, bohaterze radzieckiego serialu.

Takiej wiedzy nie zdobędzie się, czytając np. ówczesną prasę. Kto z młodszych pokoleń wie, że był tylko jeden gatunek masła roślinnego, a normalnego masła właściwie nie było? Było natomiast masło chłodnicze, ale co to właściwie takiego? Albo po co chodziło się do repasacji?

Oczywiście, ścisłą historię polityczną można poznać z dokumentów i książek, ale takie smaczki z życia codziennego poznać można tylko z autopsji. Muszę jednak uważać, aby w pracy zaznaczać, że to moje wspomnienia, ikonfrontować je materiałem źródłowym.

PRL to epoka bardzo nasyciona historią. Co pana skłoniło do poznawania przeszłości?

– Zaczęło się mało ambitnie – od „tygrysków”, czyli Biblioteki Żółtego Tygrysa. Były to niewielkie książeczki opisujące wydarzenia II wojny światowej. Można je było kupić w każdym kiosku Ruchu. Jako 11-12-letni chłopiec zbierałem „tygrysy” i handlowałem nimi pod Pałacem Kultury. Ponadto mój ojciec, który zmarł, gdy miałem 10 lat, zostawił po sobie bogaty zbiór książek o epoce napoleońskiej. Była ona wówczas popularna. Już w latach 60. XX w. pojawił się film „Popioły” Andrzeja Wajdy, potem książki Mariana Brandysa, jak choćby „Koniec świata szwależerów”.

Potem doszły inne lektury. Znalazłem w domu „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapskiego, wydanie paryskiej Kultury. Lektura ta była dla mnie szokiem, bo o tych sprawach wówczas, pod koniec lat 70. XX w., jeszcze w domu się nie mówiło. Mama należała do partii i pracowała w Ministerstwie Oświaty. Rzuciła legitymację w 1981 roku, przed stanem wojennym. Straciła wówczas pracę, ale zaczęła otwarcie mó-



Kampania wyborcza przed czerwcowymi wyborami do Sejmu i Senatu w 1989 r. Na zdjęciu plakaty Solidarności na szybach baru mlecznego „Wisielka” w Tczewie

wić o przeszłości. Opowiadała mi, jak w 1945 r. przyszła Armia Czerwona, jak wyglądał rok 1968, mówiła o dziadku, który „zginął w Katyniu”, czyli pod Charkowem.

Zrozumiałem, jak teraźniejszość jest zakorzeniona w przeszłości. Czytałem „Tygodnik Powszechny”. Przeczyłem tekst Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto”. Stałem się homo historicus.

Dla wielu historia to wielkie jednostki, wielkie bitwy i wielkie przełomy.

Pan bada codzienność i życie zwykłych ludzi. Skąd ten wybór?

– Jak na historyka mam fatalną pamięć. Wkuwanie dat i nazwisk przychodziło mi z trudnością. Na studiach nie mogłem zdzierżyć czytania rękopisów z minionych epok. Średniowieczna łacina była męką. Cwaniakowałem więc: skoro nie mogłem się nauczyć dat, to najlepszą strategią była próba zrozumienia i interpretacji procesów oraz zachowań ludzi.

Dlatego trafił pan na seminarium prof. Marcina Kuli, który zajmował się historią społeczną?

– Na pierwsze seminarium w sali nr 4 Instytutu Historycznego się spóźniłem. Byli tam już m.in. Paweł Machcewicz, Dariusz Stola i Jan Wróbel. Marcin Kula mnie za to spóźnienie wyrzucił za drzwi... Z wielkim trudem udało mi się to odkręcić. Seminarium było czymś wyjątkowym. Prof. Kula potrafi patrzeć na wszystko z szerszej perspektywy. Rozmawialiśmy na przykład o powstaniu warszawskim czy innych wydarzeniach z historii Polski, a on robił przeskok do Brazylii, Kuby czy do krajów arabskich. To było niesamowite, bo otwierało oczy na świat.

Zainteresowanie sprawami społecznymi pchnęło pana też do studiowania socjologii. Ale sam napisał pan później, że „postulat łączenia historii z socjologią w praktyce może zakończyć się bolesnym szpagatem”. W czym tkwi zagrożenie?



”

Na historię ciągle trafiają pasjonaci – i tym ta nauka chyba się różni od innych. Z drugiej strony zanikło u studentów pewne poczucie wstydu wynikającego z braku wiedzy. Kiedyś był kanon kulturowy i każdy – niezależnie, co studiował – wiedział na przykład, że Hans Castorp to bohater „Czarodziejskiej góry”. Dziś taka wiedza zanikła

– Gdy w 1988 r. poszedłem na studia socjologiczne, trafiłem na najlepszy czas polskiej socjologii. Pracowali wówczas uczniowie Stanisława Ossowskiego i inni badacze: Ireneusz Krzemiński, Paweł Śpiewak, Mirosława Grabowska, Mirosława Marody... Po studiach historycznych było to jak haust świeżego powietrza: poruszanie nowych tematów, zadawanie innych pytań.

Szpagat, o którym pisałem, wiąże się z tym, że jeden człowiek nie jest już w stanie osiągnąć całej tej wiedzy. A dochodzą jeszcze psychologia, psychologia społeczna i nowe kierunki, jak historia kobiet, historia kulturowa. Gdy próbuje się to wszystko opanować, istnieje ryzyko, że coś się przeoczy, czegoś nie doczyta. Nie można już być człowiekiem renesansu. Na Zachodzie, ale też w Polsce, robi się więc badania zbiorowe, które łączą podejścia badaczy z różnych dziedzin. Na historię patrzy się np. pod kątem psychologii.

Żeby na każde wydarzenie historyczne patrzeć z perspektywy tzw. trudnego dzieciństwa jego bohaterów?

– Owszem, istnieje niebezpieczeństwo łatwego psychologizowania, ale ono jest opisane i poważni badacze w tę pułapkę nie wpadną. Chodzi mi o to, że sama kumulacja wiedzy o faktach nie wystarczy. Nie mu już tylu białych plam. Jeśli więc chcemy dalej badać historię, to raczej poprzez nowe pytania i nowe interpretacje.

Chce pan powiedzieć, że w archiwach już nic się nie odkryje?

– Bez przesady. Zawsze uroda pracy historyka będzie polegała na tym, że siedzi się w archiwum i znajduje dokument, którego się nie spodziewało. Dla mnie takim odkryciem były materiały cenzury wojennej i Biura W – specjalnej jednostki przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, która czytała prywatną korespondencję Polaków. Ci ludzie czytali tysiące listów. Niestety, zachowały się tylko świadectwa brakowania tych listów i częściowe z nich wypisy. Ale i tak mogłem się dowiedzieć o poglądach mieszkańców Wybrzeża na rewoltę 1970 r., poczucie deprywacji materialnej, strachu

przed III wojną światową. Teczki z lat 1944-1945 pozwoliły mi napisać o emocjach powojennych.

Z lat 70. XX w. zachowało się kilka zbiorów, wyimków z listów i raportów. Jedna z teczek zawiera informacje o listach wysyłanych od 1 stycznia 1980 r. do sierpnia. Sporo pisano o pielgrzymce papieża w 1979 roku. Uświadomiłem sobie dzięki tym listom, jak silny miała ona wpływ na wzmożenie religijności w Polsce. Zakończył się pewien etap laicyzacji społeczeństwa, pojawił się zaś konserwatyzm, a nawet mistycyzm. Niektórzy może jeszcze pamiętają, że popularna była wówczas książka „Życie po życiu” o przypadkach śmierci klinicznej, a w związku z wojną w Afganistanie zaczęto przepowiadać III wojnę światową. Był nawet taki ksiądz Czesław Klimuszko, który wyznaczył datę katastrofy...

To wszystko pozwoliło mi jeszcze z innej perspektywy spojrzeć na społeczeństwo polskie w roku 1980 r. Ciągłe więc możemy znaleźć w zasobach archiwalnych

i w bibliotekach materiały, które nas zaskoczą. Jednak nauka historii będzie szła w stronę pogłębionego rozumienia, a nie poznawania faktów.

Jakie więc pytania będą zadawać historycy?

– Dlaczego coś się stało? Jak do tego doszło? Jaka była mentalność ludzi? Co czytali ludzie, na co chodzili do kina? Co robotnik w stoczni czy w hucie miał w szafce na ubranie i czy tylko zdjęcie dziewczyny z „Perspektyw”? Przeszłość będą analizować przy użyciu coraz bardziej wysublimowanych metod. Klasyka gatunku, historia polityczna czy biografistyka, nie zginą, ale coraz częściej będziemy zagłębiać się w historię kulturową czy antropologię codzienności.

Czy da się uciec od polityki przy badaniu historii najnowszej? Przecież historyk też ma poglądy polityczne?

– Część historyków, co widać po publikacjach Instytutu Pamięci Narodowej, patrzy na PRL tylko jako na państwo totalitarne i do dziś walczy z komuną. Ale w młodszym pokoleniu widzę badaczy, którzy potrafią szukać innych tematów. Pytają o biedę strukturalną, o dzielnice nędzy, o prostytucję, bezrobocie kobiet, o relacje na wsi, o awans społeczny. Ich prace pokazują, że Polacy przez te 45 lat nie tylko się bali albo walczyli o wolność, ale także śmiali się, cieszyli życiem, rodziną. Ja też w „Wielkiej trwodze” pisałem, że ludzie nie tylko się bali, ale także balowali. Cieszyli się, że widzą się na ulicach, że wstawili szyby w oknach i odbudowują życie.

A co z porównaniami? Obecnych polityków PiS porównuje się do Władysława Gomułki i jego ekipy?

– W publicystyce historycznej jest to uprawnione. Wiadomo: teksty w prasie muszą przyciągać, ale tego typu wycieczki w tekście naukowym nie są dozwolone. Porównywanie Jarosława Kaczyńskiego do Gomułki wydaje mi się zbyt banalne. Czasem jednak warto pokazać, że pewne mechanizmy

władzy albo społeczne są uniwersalne – np. myślenie grupowe, plemienne, konformizm, przywiązanie i podziw dla silnej władzy. To w „długim trwaniu” tłumaczy różne zjawiska.

W roku 1991 trafił pan do Instytutu Studiów Politycznych PAN pod skrzydła prof. Antoniny Kłoskowskiej.

– Była to wybitna uczona, wymagająca, a czasem trudna we współpracy. Profesorka starej daty. Marcin Kula przechodził z doktorantami na „ty”, a ona

książkę o nacjonalizmie w systemie komunistycznym.

I zaraz potem wszedł pan do zespołu prof. Andrzeja Paczkowskiego, gdzie uformował się swoisty historyczny dream team – byli tam Andrzej Friszke, Paweł Machcewicz...

– Do Archiwum Akt Nowych trafiło archiwum PZPR. To była kopalnia materiałów! Spotykaliśmy się co poniedziałek i za każdym razem ktoś przynosił jakieś sensacyjne dokumenty, żeby się pochwalić. Dodatkowo An-

”

Część historyków z IPN patrzy na PRL tylko jako na państwo totalitarne i do dziś walczy z komuną. Ale widzę w młodszym pokoleniu badaczy, którzy potrafią szukać innych tematów. Pytają o biedę strukturalną, o dzielnice nędzy, o prostytucję, bezrobocie kobiet, o relacje na wsi, o awans społeczny

trzymała dystans. Uważała np., że asystent nie powinien jeździć samochodem, bo prawdziwy naukowiec jest biedny. I gdy właśnie kupiłem sobie używaną skodę, nie miałem odwagi jej o tym powiedzieć...

Zadawała zabójcze kwerendy. Mówiła np.: „Niech pan sprawdzi, co w ostatniej dekadzie pisano o tym w niemieckich pismach socjologicznych”. W epoce przed internetem to był koszmar.

Prof. Kłoskowska pracowała wówczas nad książką „Kultury narodowe u korzeni”. Zajmowaliśmy się u niej kwestiami nacjonalizmu, etniczności. Pod jej kierunkiem napisałem

drzej Paczkowski i Andrzej Friszke organizowali spotkania z aktorami wydarzeń. Jeśli szukać przyczyn tego, że w latach 90. XX w. mniej zajmowano się historią dwudziestolecia międzywojennego, II wojny światowej, podziemiem poakowskim, Żydami itp., to odpowiedź leży w tych archiwach dotyczących PRL. Nagle to wszystko stało się dostępne i można było to opisać. A później jeszcze powstał IPN. Pamiętam, jak pierwsze teczki dostawało się na Rakowieckiej w siedzibie MSW. Był to mały pokój, żadnego właściwie inwentarza, dokumenty dostawało się „po uważaniu”.

Teraz pracuje pan w Uniwersytecie Warszawskim, co wiąże się z dydaktyką. Łatwo jest uczyć historii?

– Idealem jest elokwentny i charyzmatyczny prowadzący, który potrafi podsuwać nowe interpretacje, pomagać w pracy naukowej. Tego się trzeba nauczyć. Nie wiem, czy mi się udało. Na historię ciągle trafiają pasjonaci – i tym ta nauka chyba się różni

od innych. Z drugiej strony zanikło u studentów pewne poczucie wstydu wynikającego z braku wiedzy. Kiedyś był kanon kulturowy i każdy – niezależnie, co studiował – wiedział np., że Hans Castorp to bohater „Czarodziejskiej góry”. Dziś taka wiedza zanikła i nikt nie ma z tym problemów. Może to jest zrozumiałe, bo książek jest tyle, że nie sposób wszyst-

kie znać. Współczesna humanistyka jest po prostu zbyt bogata na jednego człowieka. Na pewno studenci mają problem z pisaniem. Godzinami poprawiam ich prace.

Jest takie powiedzenie, że na historię idą młodzi pravicowcy, a na socjologię kobiety o lewicowych poglądach.

– Coś w tym jest, ale jest coraz więcej kobiet na historii, które podejmują nowe, „miękkie” tematy.

Pana „Wielka trwoga. Polska 1944-1947” to nie jest historia porażająca. Pisze pan o traumach społecznych, biedzie, przemocy, szabrze, antysemityzmie. Nie wolałby pan pisać o bohaterach?

– Odszedłem od okresu powojennego właśnie także w trosce o własne zdrowie psychiczne. Obcowanie z takimi materiałami nie jest łatwe. W „Wielkiej trwodze” nie epatowałem przemocą, chciałem wyjaśnić pewne zjawiska, ale jednak było to trudne doświadczenie. Jestem pełen podziwu dla kolegów z Centrum Badań nad Zagładą Żydów – Barbary Engelking, Jacka Leociaka, Jana Grabowskiego – ponieważ ich pracę, jeśli chodzi o emocje, można porównać do pracy na onkologii dziecięcej.

Co czyta Marcin Zaremba, gdy akurat nie czyta dokumentów i prac studenckich?

– „Gazetę Wyborczą” i tygodniki opinii – wciąż w papierze. Czytam też dużo reportaży z lat 70. XX w. Przed snem sięgam ostatnio po Grażyny Bastek „Rozmowy obrazów” – napisaną z dużą kulturą słowa, erudycyjną opowieść o dziejach malarstwa zachodniego. **N**

Stoisko z „tygrysami”, Warszawa, 1979 r.



Andrzej Brzeziecki